

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.

Czynne od g. 12—2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.

1/2 " — 40 "

1/4 " — 20 "

1/8 " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Pięć minut do dwunastej.

Dojście w Niemczech do władzy wybitnie reakcyjnego gabinetu von Pappena i rozwiązanie parlamentu wskazują, że niedaleka już jest chwila decydującej rozgrywki. Nie ulega chyba żadnej wątpliwości, że w nowych wyborach do Reichstagu, wyznaczonych na ostatni dzień lipca zwycięży Hitler, który też obejmie rządy i będzie kierował wewnętrzną i zewnętrzną polityką Rzeszy.

Prawdopodobnie cały świat westchnie z ulgą, gdy tak długo nabierający wrzód wreszcie pęknie i sytuacja się wyjaśni. Ostatecznie pierwiej lub później do tego musi dojść, więc im prędzej to się stanie, tem lepiej, gdyż obecny stan prowizoryczny ciągłego wyczekiwania i niepewności dał się już wszystkim we znaki i tamuje bieg życia normalnego. Z chwilą objęcia władzy przez Hitlera musi nastąpić szybki rozwój wypadków, a nie trzeba być prorokiem, by przewidzieć po jakiej linii on pójdzie. Zbyt dużo obietnic i nadziei jest związanych z dyktaturą Hitlera, by mogła ona poprzestać na półśrodkach i wykrętach. Obalamucone demagogją Hitlera masy będą się domagały zaspokojenia rozbudzonych apetytów, a cóż im będzie mógł dać niepoczytalny demagog? Nie jest w jego mocy ani zmniejszyć bezrobocie ani zażegnać kryzys finansowy. Na zbyt daleko idące reformy wewnętrzne zresztą nie pozwoli wspierający go wielki kapitał. Pozostanie mu więc tylko jedyne wyjście: skierować podnieceni tłumów nazewnątrz.

Nie brak optymistów, którzy nie wierzą w możliwość wywołania przez Hitlera awantur zbrojnych. Jednakże opinia zagraniczna poważnie się liczy z tą ewentualnością i bezpośrednio zainteresowana prasa francuska poświęca dużo miejsca rozważaniom na ten temat.

W społeczeństwie polskim przeważa nastrój optymistyczny, którego źródłem jest wiara w potęgę, pomoc i opiekę Francji. Jedyne bodaj „Słowo” wileńskie jest pod tym względem usposobione mocno sceptycznie, ale, nie chcąc być posądzonym o defetyzm, wmawia w siebie i czytelników, że Hitler za przedmiot swych ataków oberze przede wszystkim Rosję Sowiecką. Na tej podstawie „Słowo” wysuwa i szeroko uzasadnia koncepcję przymierza polsko-francusko-niemieckiego, której zwolennikiem jest rzekomo obecny kanclerz niemiecki von Pappen.

Kombinacja taka nie jest oczywiście niemożliwą, ale pod warunkiem ustępstw terytorjalnych Polski na zachodzie. Nieraz przecież były już puszczane ze strony niemieckiej balony próbne w postaci projektów udzielenia Polsce poparcia w jej ekspansji na wschód wzamian za ustąpienie Niemcom Pomorza. Ponieważ jednak przeważająca opinia polska na tym punkcie jest nieugięta, należy uważać pomysł polsko-francusko-niemieckiego bloku antysowieckiego za całkowicie nierealny, a marzenie p. Cata o braterstwie broni z hitlerowcami za nieziszczalne.

Z jednej więc strony widzimy fantastyczne plany porozumienia Polski z Niemcami kosztem Rosji, z drugiej lekceważenie niebezpieczeństwa wojny polsko-niemieckiej, wpływające z przeświadczenia o słabości militarnej Niemiec. Nie widać zaś nigdzie realnego i poważnego ujmowania zagadnienia.

Realny bowiem polityk musi rozumować tak: może do wojny nie dojdzie, ale równie dobrze wojna może wybuchnąć. Należy być przygotowanym i na zaczepkę Niemiec i na bezskuteczność interwencji Ligi Narodów i na umycie rąk przez Francję pod jakimś pretekstem, formalnie ją usprawiedliwiającym. Wypadnie wówczas polegać na własnych siłach. A więc trzeba zrobić ścisły ich rachunek. Nietylko pod względem militarnym, lecz i politycznym także.

Jest rzeczą powszechnie znaną, do jakiej katastrofy doprowadziło Austrię zaniedbanie tego właśnie rachunku politycznego i opieranie się jedynie na obliczeniach fachowców wojskowych. Polska do pewnego stopnia przypomina Austrię. Inny jest tu wprawdzie stosunek żywiołu panującego do mniejszości narodowych i tych ostatnich nie jest taka obfitość, ale bądź co bądź trzecia część ludności w państwie polskiem składa się z „obywateli drugiego rzędu”, a ich związek z organizmem państwowym jest o wiele luźniejszy chociażby dlatego, że nie posiada za sobą wiekowych tradycji. Natomiast warunki sprzyjające powstawaniu dążeń odśrodkowych, wskutek nienaturalnych granic, są te same w Polsce, co w Austrii.

O tem, zdaje się, politycy polscy, zupełnie nie myślą i tych czynników osłabiających siłę państwa nie biorą wcale pod uwagę. Można być pewnym, że gdy nadejdzie chwila decydująca, gdy będzie chodziło o zabezpieczenie sobie tyłów, o pewny grunt pod nogami przynajmniej na terenie wewnętrznym, wówczas posypią się obietnice, ulgi, koncesje, rozpocznie się kokietowanie mniejszości narodowych, będzie rozbrzmiewać głośno hasło „wolni z wolnymi, równi z równymi”. Będzie wtedy już na to za późno, bo wybije godzina dwunasta.

W tej chwili zegar wskazuje jeszcze pięć minut do dwunastej. Jeszcze jest czas na radykalny zwrot, na zerwanie z nieopatrzoną, egoistyczną taktyką silnej ręki, na zainicjowanie nowego kursu polityki wobec Litwinów, Białorusinów i Ukraińców, na pozyskanie sobie tych, być może, jedynych sprzymierzeńców wobec przyszłego Grunwaldu. Bez ofiar i ustępstw i tu się oczywiście nie obejdziesz, ale trzeba raz przecie się zdecydować na wybór drogi. Albo Wschód, albo Zachód. Czas już wielki skończyć za-

bawę w mocarstwowość i uprzytomnić sobie, że Polska stworzona przez Traktat Wersalski — to nie Rzeczpospolita Jagiellońska, że Rzesza Niemiecka — to nie Prusy Książęce, a Rosja Sowiecka — to nie carstwo Moskiewskie.

Z lekkiej ręki b. wojewody wileńskiego p. Wł. Raczkiewicza weszło w zwyczaj, że przedstawiciele administracji lokalnej w przemówieniach urzędowych używają stale tytułu „gospodarza”. Mamy więc gospodarzy wojewódzkich, powiatowych, bodaj nawet gminnych. Utało się to i nikogo już nie razi.

Czy jednak administratorowi przysługuje tytuł gospodarza? Wprawdzie używa się często terminu „gospodarz” dla określenia funkcji zarządzającego jakimś lokalem lub zabawą (gospodarz balu, klubu, bankietu), w stosunku jednak do wszelkiej nieruchomości, kamienicy lub majątku gospodarzem jest wyłącznie jej właściciel. Tembardziej gdy chodzi o kraj cały lub jego część. Gospodarzem w tym wypadku jest ludność miejscowa, a nie urzędnik, chociażby zajmujący wysokie stanowisko i posiadający rozległą władzę.

Poczucie obywatelskie wśród naszej ludności jednakże jest tak mało rozwinięte, że nie rości ona żadnej pretensji do roli pana domu i bez szemrania rezygnuje z należnego sobie stanowiska gospodarza na rzecz zmieniających się administratorów.

Ta zamiana ról jest niezmiernie charakterystyczna dla naszych czasów i dla naszych stosunków.

Próba wyłomu.

II.

Drugim czynnikiem jest narastająca stale imigracja zwłaszcza robotników z Litwy t. zw. Wielkiej do Kłajpedy — „Litwy Małej”. Imigrację tę ściąga nie tylko przemysł, który nią zasila miasto, ale także rolnictwo kłajpedzkie. Pod względem asymilacyjnym imigracja robotnicza rolą jest o wiele bardziej czynna, niż imigracja przemysłowa robotnicza do miast lub imigracja urzędnicza w tych gałęziach

VAIŽGANTAS.

Spokojniewiczowie i Niespokojniewiczowie.

Przełożył z litewskiego W. Zaleski.

(Dokończenie)

Z k o r z e n i a m i .

Wesoło teraz szły roboty jesienne. Spokojniewiczowie z Niespokojniewiczami niemal wszystko robili razem. Jeżeli wypadało konieczne zrobić coś oddzielnie, to nad wieczorem, ci, którzy skończyli pierwszy, zaraz swym sąsiadom przychodzili z pomocą.

Tylko starzy utrzymywali dawny stosunek. W nocy spali, w dzień pracowali i często nawet zapominali o swej walce. Ale nigdy jeszcze nie zesłali się i nie pogawędzili. Nie czuli potrzeby.

Tymczasem zaś synowie walczyli.

Znalazłszy się w tym samym pułku, nawet w tej samej kompanji, biorąc zupełną z tego samego

kotła, całe dni maszerując jeden za drugim, a nieraz stojąc w obliczu tej samej śmierci, dawni przyjaciele niedługo pamiętali o błahym powodzie gniewu, który szlachetne uczucie przyjaźni w nienawiść zamienił. Po upływie kilku dni już rozmawiali z sobą jak starzy znajomi, lecz jeszcze nie jak bracia i nie jak przyjaciele.

Lecz oto wysłano ich na zwiady. Poszło dużo żołnierzy, ale po drodze kazano im rozsypać się, zrobić „sieć” i tak się posuwać, by wszystko, co się znajdowało na przestrzeni kilku kilometrów, wpadło do któregoś oczka.

Spokojniewicz jechał konno o pół wiorsty od Niespokojniewicza i spostrzegł, że go zauważył oddziałek nieprzyjacielskiej kawalerji również na zwiady wysłanej. Niespokojniewicz zawrócił konia i, strzelając, rzucił się do ucieczki. Nieprzyjaciel gonił go i obsypywał gradem kul. Gdy Spokojniewicz to ujrzał, aż zdrętwiał z przerażenia. Nieprzyjaciel go nie widział, lecz nie to go obchodziło. Po każdym nieprzyjacielskim wystrale ze strachu zamykał oczy, potem znowu je otwierał i pilnie patrzył, czy aby nie trafiono w Niespokojniewicza, czy jeszcze siedzi

administracji, które są rządzone przez państwo (koleje żelazne, policja kolejowa, poczta, urzędy celne, straż graniczna). Rolnictwo Kłajpedy ściąga co roku do dzielnicy dużą ilość robotników wiejskich ze Żmudzi i innych części kraju, — Litwinów, niedotkniętych wpływami niemieckimi. Jest to przeważnie element młody, nie obciążony rodziną. Wielu z nich się tam żeni, osiada, aklimatyzuje, czasem kupuje ziemię lub wwiązuje się w rodziny Litwinów — włościan miejscowych, dziedziczy gospodarstwa. Element ten, narastający stale i umiejscawiający się, nadaje nową orientację narodową wsi litewskiej w Kłajpedzie.

Wreszcie trzecim czynnikiem jest zapoczątkowany, choć znacznie w stosunku do Litwy Wielkiej spóźniony, ale szerzący się stale i systematycznie, ogarniający coraz szersze koła ludności proces społeczny odrodzenia narodowego samych Litwinów miejscowych, odniemczający ich stopniowo. Dziś już proces ten, dawniej — przed oderwaniem Kłajpedy od Prus — indywidualny, dotyczący tylko bardzo nielicznych jednostek osobiście, — stawać się zaczyna masowy, choć jeszcze się nie stał powszechny. Proces ten wciąga się do rodzin, dzieli nieraz małżonków, dzieli synów od rodziców, dzieli braci. Członkowie jednej rodziny zaczynają się różnić: podczas gdy jeden brat staje się Litwinem — narodowcem, drugi jest obojętny i narodowo bierny, trzeci — zapalony zwolennik Niemiec i germanizacji, wstydzący się mowy litewskiej.

Ludność Kłajpedzka przeżywa okres wczesnego odrodzenia; prozelityzm nowo nawróconych walczy o lepsze z zaciekłością renegatów i mąci apatję obojętnych. Większość należy zapewne jeszcze do obojętnych, ale ilość unarodawiających się rośnie.

Wogóle każde wybory do sejmiku autonomicznego dawały przyrost głosów i mandatów narodowych litewskich.

Fakty te wytrącają Niemców z równowagi. Czekanie bierne na rozwój wypadków staje się dla nich coraz trudniejsze. Trzeba mącić, trzeba co najmniej dyskredytować Litwę, trzeba ją poniżyć, aby autorytet państwowy litewski w oczach ludności biernej był zachwiany, aby nie było motywów do litwi-

nizowania się. Trzeba utrzymywać wrażenie, że Niemcy mają kontrolę nad Litwą, że mogą ją zmusić do posłuchu, że oni dysponują sytuacją, że państwowość litewska jest tylko czemś prowizorycznym, przejściowym.

Urzędnikom autonomicznym Niemcom organy państwowe niemieckie, po sprawdzeniu przez swoich mężów zaufania ich gorliwości patriotycznej niemieckiej, wypłacają z pominięciem władz państwowych litewskich jakieś dodatki pieniężne do pensji. Byłym poddanym niemieckim, którzy nie optują na rzecz Niemiec i ustalają swoje poddaństwo litewskie, władze niemieckie po sprawdzeniu ich „patriotyzmu” niemieckiego — wydają zaświadczenia o tem, że w razie potrzeby zostaną oni przyjęci bez przeszkód i procedury z powrotem do poddaństwa niemieckiego. Sejmik, w którym dwie partje niemieckie — „Landwirtschaftspartei” i „Volkspartei” — choć złożone przeważnie z renegatów litewskich, — miały większość i oparty na zaufaniu tego sejmiku niemiecki Dyrektorjat autonomiczny — nie uporządkowuje kwestji trybu kompletowania sędziów, która należy do zakresu autonomji, aby nie otworzyć Litwinom drogi do stanowisk sędziowskich w dzielnicy, gdzie wszyscy sędziowie są Niemcy i nie rozumieją ani słowa po litewsku, mimo że statut zastrzega równorzędność urzędową obu języków dzielnicowych — litewskiego i niemieckiego. Szkoły publiczne są prawie wszystkie niemieckie, nauczyciele w nich są Niemcy, przeważnie nierozumiejący wcale po litewsku, choć językiem domowym większości dzieci szkolnych jest litewski, — znaczny odsetek nauczycieli stanowią poddani niemieccy.

Przepis statutowy o dwóch językach urzędowych jest przez władze autonomiczne niemieckie zgoła lekceważony. Czynniki niemieckie wraz z władzami autonomicznymi, pokrywane przez niemiecką większość sejmikową, uprawiają systematyczny sabotaż takich obowiązków statutowych, które mogą ułatwić spółzycie państwowe Kłajpedy z Litwą, i krzyk podnoszą, gdy władze litewskie przez gubernatora dzielnicy kładą nacisk na wykonanie tychże lub zapowiadają wydania ustawy, regulującej dozór państwowy nad wykonywaniem statutu.

na siodle. Każdy strzał, jak mieczem, przeszywał mu serce.

Trwało to kilka sekund. Potem zazgrzytał zębami mocno, aż do bólu, przycisnął karabin do ramienia i tak dobrze wycelował w pierwszego napastnika, który już, już doganiał Niespokojniewicza, że, wystrzelwszy, jeszcze nie zdążył karabinu odjąć od ramienia, a wróg już zwałił się z konia. Spokojniewicz tak był pewny tego, że trafił, iż nawet nie spojrział, czy wróg spadł z konia. Tylko dał koniowi ostrogami i popędził ku nieprzyjacielskiemu oddziałkowi, wciąż strzelając to z karabinu, to z rewolweru.

Nieprzyjaciel sądził, że został wzięty we dwa ognie. Niespokojniewicz zaś myślał, że swoi przychodzą mu z pomocą. Odwróciwszy się, rzucił się na wroga. Spokojniewicz za nim. Obaj krzyknęli: hura! i poczęli rąbać szablami. Wróg się stropił. Dwaj momentalnie padli pod ciosami szabel, a dwaj pozostali rzucili się do ucieczki. Piątego zastrzelił Spokojniewicz.

Zeskoczyli przyjaciele z koni, odebrali od rannych broń i nie zwracając uwagi na błagalne okrzyki rannych, proszących o niedobijanie, padli sobie

w objęcia. Spokojniewicz aż rozplakał się ze wzruszenia.

— Czyś cały?.. Czy żadna kula nie trafiła?.. — pytał, patrząc troskliwie na Niespokojniewicza.

Temu wargi zadrżały, cały poczerwieniał i jeszcze raz wziął przyjaciela w objęcia.

— Takżeś mnie żałował? — spytał.

— Nawet nie przypuszczałem, żeś mi tak drogi.

Obaj zrozumieli, że, urodziwszy się w jednym miejscu, w jednym miejscu rosnąc, zrosli się sercami, i chociaż proch życia może ich pokryć grubą warstwą, lecz przerobić ich nie może. Uprzytomnili sobie wyraźnie, że niedawna zawziętość była sztuczną, wzorowaną na uczuciach ojcowskich.

Od tego czasu przyjaciele starali się nie rozłączyć; gdzie jeden szedł, tam szedł i drugi na ochotnika. Jeden drugiego pilnował, troszcząc się o przyjaciela więcej niż o siebie. W dzień, w czasie strzelaniny obserwowali bacznie siebie nawzajem, czy są dobrze ukryci. Jedzeniem się dzielili. W nocy okrywali się wzajemnie. O ich przyjaźni wiedziała cała kompanja. W oczy niby to śmiano się z nich, ale

Konsul niemiecki w Kłajpedzie na Parkstrasse rywalizuje skutecznie z gubernatorem, przywłaszczając sobie funkcje zakulisowego wielkorządcy Niemiec w Kłajpedzie: do niego się zwracają posłowie większości sejmikowej, i członkowie rządu autonomicznego po instrukcje i wskazówki, u niego zapadają decyzje o tem, co i jak ma być—oczywiście w interesie Niemiec—robione, jaka ma być linja polityki i stosunku do władz państwowych litewskich i ich zarządzeń, przez niego jest kontakt z władzami w Berlinie, przez niego idą z Berlina i Królewca dyrektywy, pieniądze i decyzje, u niego na Parkstrasse jest serce i mózg akcji niemieckiej w Kłajpedzie.

Prezes Dyrektorjatu, to znaczy rządu autonomicznego, jedzie wraz z dwoma członkami większości sejmikowej do Berlina i tam w lokalu urzędowym konferuje z członkami rządu Rzeszy (jest to właśnie „casus” b. prezesa Dyrektorjatu Bötchera, którego b. gubernator Merkys został zmuszony usunąć, o co Niemcy wszczęły gwałt i o co teraz Litwa powołana została przed Trybunał Międzynarodowy w Hadze). Jednemu z jego towarzyszy podróży, p. Bałtromiejusowi, Litwinowi zmienionemu, który nie miał regularnego pasportu zagranicznego, jeno przepustkę, za którą jazda do Berlina jest niedopuszczalna, konsul niemiecki w Kłajpedzie, wiedząc dobrze o nielegalności tego dokumentu podróży, ale znając cel tejże, wystawia na przepustce poświadczenie dla władz niemieckich, że ów pan udaje się do Berlina „w sprawach, mających wielką wagę dla interesów Niemiec”. Gdy się podróż i rokowania Berlińskie prezesa Dyrektorjatu i towarzyszy stały dla gubernatora Kłajpedy jawne, prezes Dyrektorjatu tłumaczył się zgoła prywatnym tej podróży charakterem. Wszakże kwitarjusz kasy dzielnicowej wykazały, że p. prezes Dyrektorjatu, udając się na tę wycieczkę „prywatną” do Berlina dla pertraktacji z członkami rządu Rzeszy, kazał sobie wypłacić z kasy kilka tysięcy litów awansu i po kilkaset awansu dla swych towarzyszy na rzecz „podróży służbowej” („*Dienstreise*”). Rokowania więc zwierzchnika rządu autonomicznego i przedstawicieli dwóch stronniactw większości sejmikowych z rządem pań-

stwa obcego w stolicy tegoż państwa, rokowania, których treść i sam przedmiot jest nieznany władzy centralnej i które są przedsięwzięte i wykonywane bez wiedzy gubernatora prowincji, stają się celem podróży „służbowej” tych panów, opłacanej ze środków publicznych i kwalifikowanej przez konsula państwa obcego, jako mająca „wielką wagę” „dla interesów” tegoż państwa obcego! Sapienti sat.

Kiedy zaś rzecz się ujawniła i charakter „służbowy” tej wycieczki został zdemaskowany i kiedy gubernator Merkys zawiadomił o tem sejmik autonomiczny, od którego zależy wyrażenie votum nieufności Dyrektorjatowi, skutkujące dymisją tegoż, większość niemiecka sejmiku, uważając to wszystko za „bardzo naturalne”, wyraziła Dyrektorjatowi... votum zaufania! Gdy wtedy gubernator, nie znajdując dla interesu i godności państwa należytego uznania i oparcia w sejmiku, zwrócił się bezpośrednio do prezesa Dyrektorjatu p. Bötchera, żądając od niego bezpośrednio podania się do dymisji, p. Bötcher, rozzuchwalony uchwałą sejmiku, odmówił. Wtedy dopiero gubernator, po wyczerpaniu wszystkich środków pokojowych, nie mając innego wyboru i opierając się na zastrzeżeniu przez statut i przez konwencję Kłajpedzką zwierzchnictwie państwowem („*Souveraineté*”) Litwy, jawnie pogwałconem przez czynniki niemieckie rządu autonomicznego i większości sejmikowej, zdecydował się na akt interwencji formalnej, usuwając p. Bötchera rozkazem własnym. Ponieważ p. Bötcher oparł się rozkazowi gubernatora i, rozzuchwalony ostatecznie, przeciwstawił się władzy zwierzchniej gubernatora, podnosząc przez to samo zarzewie buntu otwartego, został on czasowo przez komendanta wojennego Kłajpedy aresztowany i internowany w lokalu komendantury, skąd zresztą został niebawem, po przejęciu przez wyznaczonego czasowo przez gubernatora urzędnika urzędów rządowych Dyrektorjatu, uwolniony. Tu właśnie zaszedł fakt najjaskrawszy istotnej „służby” p. Bötchera.

Bydąc aresztowany i osadzony w komendanturze, gdzie mu udzielono do dyspozycji pokój i stół z kasyna oficerskiego, p. Bötcher napisał i usiłował przesłać pokątnie list do syna, w którym radził, aby

za oczami chwalono i nawet nieco zazdrośczoneo tym „litwiakom”, którzy kochają się niczem dziewczęta.

Tak minął miesiąc. W jednej bitwie nieprzyjaciel powystrzelał im wszystkich oficerów. Skoczyli przyjaciele, jako podoficerowie objęli dowództwo i wykonali, co było przez oficerów zamierzonym. Dowódca, widząc to, wymienił ich w raporcie i przedstawił do awansu. Zostali mianowani „praporszczykami” na czas trwania wojny.

O tem to właśnie przyjaciele zawiadomili swoich w owej pocztówce. Napisać o swem pogodzeniu się nawet im na myśl nie przyszło. Jak tu pisać o takich głupstwach, których w rzeczywistości może nawet wcale nie było.

Przyjaciele z domu nie mieli żadnej wiadomości, choć im zaraz odpisano, ale i bez listu czuły ich serca, że i w domu zapanował pogodniejszy nastrój.

Jednego tylko nie wiedzieli nieboracy, że drogo im zapłacić wypadnie, zanim wyrwą z korzeniami gniew z serc ojcowskich.

Pewnego ranka stary Niespokojniewicz skoczył ze snu, jak oparzony, tak krzyknęła przeraźliwie przy

jego boku leżąca żona. Przyszedłszy do siebie za czął żoną trząść, jak gruszką, dopytując:

— Co ci?.. Co ci?..

Ta dygotała, jak w febrze, i słowa przemówić nie mogła. A gdy ją ocucił i podał wody do picia, usłyszał:

— Niema naszego syna, niema!.. On z równej drogi wpadł do głębokiego rowu i leży we krwi cały... z wyciągniętymi rękami... z podniesionymi nogami!..

Stary uspokajał żonę: „Sen mara, Bóg wiara. Jeżeli i spełnia się, to naodwrot”. Uspokajała i Spokojniewiczowa. Ale serca obu sąsiadek zatrzepotały się jak skrzydełka złapanego wróbla, ścisnęły się przeczcuciem złowrogiem. Spowiło się w czarny całun litewskie niebo, zawisły posępne chmury nad całami Aukstajciami, a najwięcej chmur zawisło nad sąsiadami z krańca wsi. Przeczuczali nieszczęście, modlili się, lecz czuli, że nic nie wymodlą.

I nie wymodlili. Pewnego dnia na poczcie wręczono staremu Niespokojniewiczowi pocztówkę, znów tak samo zaadresowaną: „Do Spokojniewiczów i Niespokojniewiczów w Aukstajciach gubernji kowień-

przedstawiciele większości sejmikowej odwiedzili konsulat niemiecki na Parkstrasse, i prosił poinformować się tam, co mu należy robić wobec tego, co zaszło, — czy ustąpić, czy się „trzymać mocno”. Jednocześnie w liście tym wyrażał wątpliwość, czy Niemcy („Deutschland”) zechcą się w tę sprawę mieszać i czy w tym wypadku można liczyć na ich poparcie. Ten list własnoręczny p. Bötchera został przejęty i stanowi on dowód jaskrawy i kompromitujący intrygi państwa obcego, roli konsulatu na Parkstrasse, dyrektyw, jakim ulegał p. Bötcher i większość sejmikowa, i natury istotnej działania Niemców kłajpedzkich, wysługujących się zagranicą przeciwko państwu, do którego dzielnica należy.

Większość sejmikowa, dopóki nie wiedziała, jak reagować będzie na sprawę Bötchera rząd niemiecki, skłaniała się do pertraktacji z gubernatorem w przedmiocie utworzenia nowego Dyrektorjatu. Gdy się wszakże dowiedziała o wszczętym przez rząd niemiecki alarmie międzynarodowym, o skardze do Rady Ligi Narodów etc., — cofnęła się od wszelkich pertraktacji. Gubernatorowi nie pozostało nic innego, jak mianować na stanowisko prezesa Dyrektorjatu Litwina miejscowego p. Simaitisa, którego Dyrektorjat otrzymał oczywiście votum nieufności niemieckiej większości sejmikowej, i — co zatem idzie — rozwiązać sejmik i roz�isać nowe wybory.

Sygnatarjusze konwencji Kłajpedzkiej — Anglja, Francja, Włochy i Japonja — wytoczyły Litwie sprawę w przedmocie „casusu” Bötchera, dotyczącą interpretacji pewnych przepisów statutu.

W sprawie Kłajpedy odpowiada międzynarodowo za przestrzeganie statutu autonomicznego Litwa. Niemcy kłajpedzcy, gwałcąc statut autonomiczny, uprawiając sabotaż i działając na rzecz obcego państwa przeciwko zwierzchnictwu Litwy, międzynarodowo odpowiadać nie mogą; Litwa nie może skarżyć własnych poddanych i władze autonomiczne swojej prowincji; musi i może skarcić je i dyscyplinować sama. Ale jak i przed kim jest odpowiedzialna Rzesza Niemiecka i rząd pruski, prowadząc w państwie sąsiednim przez swój konsulat

intrygę, opartą na wyzyskiwaniu elementów państwowo nielojalnych i zmierzającą do podminowania Traktatu Wersalskiego?

P. K.

Z mego notatnika.

Skandal w rodzinie.

Powojenna rzeczywistość przyzwyczaiła nas ni czemu się już nie dziwić, a najmniej wszelkim wybrykom, zwrotom i karkołomnym nieraz łamańcom zarówno poszczególnych jednostek, jak całych nawet grup na arenie społeczno-politycznej.

To, co się dzieje dziś w t. zw. świecie politycznym przypomina raczej cyrk z popisami clownów, niż turniej, na którym zapaśnicy walczą z myślą o zwycięstwie, wpatrzeni w swą damę serca — ideę, zasadę, program. Przerzucanie się z obozu do obozu, najnieprawdopodobniejsze sojusze, podstępne manewry, zmiana przekonań bez żadnych skrupułów, cynizm i ordynarne karierowiczostwo — wyrugowały całkowicie z walki politycznej dawny romantyzm, doktryneryzm czy fanatyzm.

Na tem tle rozegrywają się nieraz ucieszne, częścię wysoce niesmaczne sceny. Takim epizodem, budzącym mieszane uczucia jest ostra kampanja, wszczęta przez organ, uprawiający taktkę pochlebstwa wobec b. premjera pułk. Sławka przeciwko organowi, prawiącemu komplementy obecnemu premierowi pułk. Prystorowi, a jeszcze bardziej byłemu premierowi prof. Bartłowi. Obydwa pisma należą do obozu B. B., obydwaj pisma wychodzą w Wilnie.

Cóż dało powód „Słowu” do tak brutalnego zaatakowania nielubianego wprawdzie oddawna, lecz bądź co bądź traktowanego dotąd z pewną względnością, bo sprzymierzonego „Kurjera Wileńskiego”? Trudno doszukać się w wystąpieniu „Słowa” jakichś motywów zasadniczych. Może względy konkurencyjne, może jakieś pobudki osobiste. Któż to może wiedzieć? Trzeba zajrzeć za kulisy obozu rządzącego

skiej”: ale jakąś zabrudzoną, i całą zbroczoną... nie wodą, lecz czemś gęstszym i tłustszym... krwią... Każdy mógł to łatwo poznać. Treść była krótka:

„Módlcie się za nas. Spokojniewicz. Niespokojniewicz”.

Potem kilka słów, dopisanych przez siostrę miłosierdzia:

„Znaleziono w kieszeni Spokojniewicza. Niespokojniewicz został na miejscu zabity szrapnelem w czasie odwrotu z Prus. Spokojniewicz tego samego dnia zmarł w szpitalu od ran. Obaj bohaterzy odznaczeni oficerskimi krzyżami św. Jerzego. Wieczne odpocznienie”.

Ż tym strasznym dokumentem Niespokojniewicz poszedł do Spokojniewicza. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów. Może od trzech dziesiątków lat. Spokojniewicz zdaleka ujrzał sąsiada, coś w obu rękach dzierzącego. Ten podszedł do niego i wyciągnął odkrytkę. Spokojniewicz chwycił ją również w obie ręce, pomacał i zrozumiał wszystko.

— We krwi! — ryknął, utkwivszy w nim obłąkane oczy.

— We krwi... obaj... — głuchym głosem odparł Niespokojniewicz.

I poczęli obaj chrapać — inaczej nie można było nazwać ich płaczu. Płakać nie umieli. Usiłowali nie wydać głosu, przemóc się. Ale nie mogli. Głos sam się wydierał. I zdawało się, że to nie Spokojniewicz i nie Niespokojniewicz płacze, tylko że coś wewnątrz ich siedzi, twarde rękami serca im ściska i wydaje głos niesamowity.

Straszno się uczyniło na obu podwórzach. Zbiegli się domownicy, zaprowadzili ich do chaty, ułożyli. Powoli ucichli, zapanowali nad sobą. I zupełnie, zda się, nie pojmowali, czego rozszlochali się wszyscy. Wyszlochali się i ci...

I znowu Spokojniewiczowie i Niespokojniewiczowie pojechali do kościoła. Znowu zakupili składkowe egzekwje za dusze przyjaciół Spokojniewicza i Niespokojniewicza. Ale teraz jechali trzema wozami. Niespokojniewiczowa ze swemi dziećmi, Spokojniewiczowa ze swemi, a obaj starcy w trzecim wózku, roniąc łzy rzęsiście. I nie znać było, by w ich sercach zostało choć trochę nienawiści, choć trochę chęci ubiegania się o pierwszeństwo.

dziś w Polsce, by mieć pojęcie o sprężynach, wprawiających w ruch pajaców dziennikarskich, a to jest zadanie i niełatwe i mało pociągające.

Formalnym powodem wystąpienia „Słowa“ było zerwanie z grupą t. zw. „żagarystów“, czyli młodzieży radykalno-katolickiej z głośnym obecnie studentem Dembińskim na czele, która swego radykałizmu społecznego nie mogła swobodnie propagować na łamach organu agrarjuszowskiego i znalazła przytułek w „Kurjerze Wileńskim“ jako piśmie o mniej zachowawczych tendencjach.

Poglądy owej grupy młodych reformatorów stanowią jakąś dziwną mieszankę komunizmu, katolicyzmu i faszystów. Są one produktem współczesnego pomieszania pojęć, chaosu ideowego i pogoni za oryginalnością, która cechuje dzisiejszy intelektualizm. Nie wyrosły one na gruncie miejscowych bolączek i potrzeb, są oderwane i teoretyczne, i właśnie tu, w Wilnie w naszych warunkach prymitywnych, gdzie kryzys kapitalizmu najmniej dał się we znaki ludności, nie mogą liczyć ani na wpływ ani na popularność. Być może wyłoni się z tych prób reformatorskich jakaś bardziej realna koncepcja, być może nie pozostanie po nich innego śladu prócz wspomnienia o światoburczych wynurzeniach grona wileńskiej młodzieży akademickiej. Zawsze jest to lepsze, niż organizować pogromy żydowskie lub wydawać mapy zaborczej Polski od morza do morza.

Inna rzecz, że symbioza mistyczo-rewolucyjnej ideologii „żagarystów“ zarówno z konserwatywno-imperjalistycznym kierunkiem „Słowa“ jako też z wolnomyślno-drobnomieszczańskim światopoglądem „Kurjera Wileńskiego“ jest zjawiskiem zgoła nienormalnym i daje się wytłumaczyć jedynie brakiem wyraźnej linii w obecnych programach społeczno-politycznych i nieprzebieraniem w środkach, byle interes szedł.

Najzabawniejszym zaś w tem wszystkim jest piętnowanie „Kurjera Wileńskiego“ przez „Słowo“ jako pisma, popierającego komunizm, a więc antypaństwowego, a więc nieprawomyślnego, a więc zasługującego na zamknięcie, a nie na subsydia rządowe. Tarcia i antagonizmy wewnętrzne w łonie sanacji, o których od czasu do czasu głuche wieści przedostawały się nazwnąć, widocznie mocno się spotęgowały, skoro nastąpił nieoczekiwany i gwałtowny wybuch i to na tak oddalonych od głównego ogniska peryferjach. Któryż z tych dwóch dzienników reprezentuje naprawdę Blok Bezpartyjny? Zatarg między nimi jest najlepszym dowodem sztuczności i bezprogramowości tego wielogłowego potworka.

Licz.

Insynuacja.

W szeregu artykułów, które się ukazały w „Słowie“, wymierzonych przeciwko „Kurjerowi Wileńskiemu“ dwukrotnie zostało wymienione moje nazwisko, jako byłego współpracownika tego dziennika.

O mojej roli w redakcji „Kurjera Wileńskiego“ jakoteż o powodach wystąpienia z niej zamieściłem przed rokiem obszernie wyjaśnienie w „Przeглядzie Wileńskim“. Powracać do tego tematu oraz do niewybrednych metod redaktora „Słowa“, które spowo-

dowały moje ustąpienie z „Kurjera Wil.“, nie widzę potrzeby.

Nie mogę jednak przejść do porządku dziennego nad słowami p. Stanisława Mackiewicza, określającymi moje stanowisko polityczne. P. Mackiewicz pisze: „Przed rokiem pracował w „Kurjerze Wil.“ p. Ludwik Abramowicz, zwolennik oddania Wilna Litwie“.

P. Mackiewicz świadomie skłamał.

Nie uważam powyższego posądzenia za ujmę dla siebie. Mógłbym mieć i takie przekonania. Ale nigdy i nigdzie podobnego poglądu nie wypowiadałem. Ani w „Gazecie Krajowej“, ani w „Przeглядzie Wileńskim“ najbardziej podejrzliwy, byle krytyczny czytelnik nie znajdzie żadnego artykułu, żadnej enuncjacji, żadnej aluzji nawet, któraby upoważniała do twierdzenia, że jestem zwolennikiem *oddania* Wilna Litwie. Swego czasu złożyłem moje wyznanie wiary w formie listu otwartego do Czesława Jankowskiego.

P. Mackiewicz zdaje sobie doskonale sprawę, że uznawanie konieczności ustępstw ze strony Polski w kwestji wileńskiej, stosunek negatywny do inkorporacji Wileńszczyzny „bez zastrzeżeń“, bezkompromisowe opowiadanie się przy tradycyjnym sztandarze Pogoni nie jest równoznaczne z włączeniem Wilna do Republiki Litewskiej. *Włączenie i złączenie* są to dwie różne rzeczy. Różnic tych może nie rozumieć przeciętny czytelnik „Słowa“, ale jego redaktor napewno wybornie się w nich orjentuje.

Jeżeli tedy używa w stosunku do mnie określenia „zwolennik oddania Wilna Litwie“, to czyni to w tym celu, by zdyskredytować mnie w oczach szerokiej opinii publicznej, a być może, mimochodem również zwrócić uwagę na moją nieprawomyślność polityczną władz administracyjnych czy sądowych. Jest to więc zwykła insynuacja, której pobudek zresztą trzeba się doszukiwać w kampanji, wszczętej przez p. Mackiewicza przeciwko „Kurjerowi Wileńskiemu“ i w której moja osoba odegrywa rolę tylko uboczną. Niemniej insynuacja pozostaje insynuacją.

L. Abramowicz

List do Redakcji.

Szancwny Panie Redaktorze!

W Nr. 9 „Przeглядu Wileńskiego“ umieścił Pan artykuł p. t. „Mie-iąc jubileuszowy“, w którym uczyniono T-wu Przyjaciół Nauk zarzut, że rzekomo „nie uważało za potrzebne nadać choćby zdawkowego powitania w dniu jubileuszu Litewskiego T-wa Naukowego“ w Wilnie. Że jednak nietylko „uważało za stosowne wysłać“, lecz też wysłało odpowiednie pismo gratulacyjne, lubo z opóźnieniem, z powodu nieotrzymania spodziewanego zawiadomienia, dowiedział się Pan od wice prezesa Zarządu T. P. N, prof. Kościalkowskiego przed wypuszczeniem z drukarni numeru „Przeгляд. Wileńskiego“. Mimo to Pan nie uważał za właściwe usunięcia niesłusznego zarzutu i, co więcej, w przypisku *podał w wątpliwość prawdziwość słów prof. Kościalkowskiego*, pisząc: P. S. *Podobno (!)* — jak się dowiaduję w ostatniej chwili — powodem jego (t j.

opóźnienia?*) jest nieporozumienie, a nie lekceważenie lub obojętność. *Byłby to fakt pocieszający.*

Fakt ten pominięto milczeniem, jako będący wynikiem szczególniejszej drażliwości autora artykułu, wyszukującego usilnie śladów owego ze strony Polaków „lekceważenia lub obojętności” wobec Litwinów. Zdawało się też, że sprawa utonie w niepamięci na szpaltach „Przegl. Wileńskiego” lub zostanie przez Pana Redaktora sprostowana.

Tymczasem w N-rze 43 (323) „Vilniaus Rytėjus” z dn. 1.VI. 1932 r. zarzut Pański został podjęty ponownie w związku z uczestnictwem delegata T-wa Nauk, Litewskiego w uroczystości 25-cio lecia T. P. N.

Tym razem, jako członek T-wa Przyj. Nauk od jego założenia, ośmielam się zwrócić**) na skutki artykułu Pańskiego i wyrazić nadzieję, że Pan, tak mężnie i wytrwale stawiający czoło w obronie Litwinów, Białorusinów, Ukraińców, Żydów i Unitów przed Polakami, tym razem w imię sprawiedliwości zechce stanąć w obronie instytucji polskiej i naprawić krzywdę niesłusznie jej wyrządzoną.

Z poważaniem
Michał Brensztejn.

(Przyp. Red.). Nie bardzo rozumiem, dlaczego autor powyższego listu pisze w tonie tak zjadliwym i poirytowanym i jaką „krzywdę” mam naprawić. Faktem jest, że T-wo Przyjaciół Nauk żadnego powitania w dniach jubileuszowych posiedzeń Lit. T-wa Naukowego nie nadesłało. Istotnie już po napisaniu odnośnej notatki spotkałem się w autobusie z prof. Kościalkowskim i rozmawiałem z nim na ten temat. Nie mam zwyczaju czynić użytku w prasie z rozmów prywatnych, muszę więc poprzestać na stwierdzeniu, że wyjaśnienia prof. Kościalkowskiego były tego rodzaju, że upoważniały mnie do zamieszczenia przypisku w takiej właśnie formie, w jakiej to zrobiłem.

Za redakcją „Viln. Rytėjus” nie mogę ponosić żadnej odpowiedzialności i jeżeli pismo to powtórzyło mój zarzut już po otrzymaniu przez Lit. T-wo Naukowe pisma gratulacyjnego, to obowiązkiem Zarządu wspomnianego T-wa było sprostować błędną informację.

Co się tyczy rzekomego mego „usilnego wyszukiwania” śladów lekceważenia lub obojętności wobec Litwinów ze strony Polaków, to byłbym bardzo rad, gdybym istotnie potrzebował ich wyszukiwać. Chętniebym nawet zgodził się, aby mnie poczytywano za manjaka. Niestety objawów tych jest tak dużo, że nie potrzebuję sobie zadawać fatygi z ich wyszukiwaniem, a trzeba przyznać, że właśnie p. Brensztejn nie mało się przyczynił do ich rozpowszechnienia i utrwalenia.

Nie przed Polakami bowiem — jak twierdzi p. Brensztejn — bronię „Litwinów, Białorusinów, Ukraińców, Żydów i Unitów” (!), lecz przed nacjonalizmem polskim, który, rzecz znana, występuje często najjaskrawiej u ludzi, mających w swych żyłach tak mało krwi polskiej.

L. A.

O bezpłatne powietrze i słońce.

Ktokolwiek zwiedzając większe miasta, położone w obecnych granicach państwa polskiego, porównywał je z Wilnem, ten musi przyznać, że o ile samo miasto Wilno ustępuje im pod względem nowoczesnych urządzeń, porządku i czystości, o tyle nieskończenie przewyższa je pod względem malowniczości swego położenia.

Na ten temat napisano już niezliczoną ilość artykułów i na tym punkcie Wilno ma już ustaloną opinię.

Nie wszyscy jednakowoż Wilnianie doceniają piękno i urok wileńskiego krajobrazu. Może właśnie

*) Nie nie opóźnienia, lecz głuchego milczenia. L. A.

**) Prawdopodobnie autor opuścił tu wyraz „uwagę”. L. A.

dlatego, że nie każdy z jego mieszkańców miał sposobność porównać widok cudownych okolic Wilna z bezbrzeżną monotonią okolic choćby naprzykład Warszawy, gdzie się widzi tylko, „za piaskiem lasek, za laskiem piasek”.

Ale nietylko nie doceniamy naszych skarbów przyrody z braku należytych pobudek estetycznych. Mało korzystamy również z nich nie odczuwając potrzeby słońca i powietrza, innemi słowy, za rzadko opuszczamy mury miejskie dla względów zdrowotnych.

W dzisiejszych ciężkich czasach mało kto w porze letniej może pozwolić sobie na wyjazd na letnisko. Związana jest ta przyjemność z wieloma wydatkami, szczególnie jeżeli się posiada rodzinę. Zdawałoby się, że w takich warunkach wycieczka świąteczna za miasto jest przyjemną koniecznością. Taka, jak u nas mówi się „majówka”, zdawałoby się, nie może być zastąpioną żadnym szlifowaniem chodników lub przesiadywaniem w dusznych lokalach rozrywkowych.

Tymczasem, jeżeli się pójdzie w święto do takiego Zakretu, na Karolinki, w góry Antokolskie, ze zdziwieniem stwierdza się bezludność tych uroczych zakątków. Wprawdzie, spotyka się pojedyncze grupki osób, tu i ówdzie można spotkać nawet liczniejsze wycieczki, lecz jeśli się weźmie pod uwagę dwustutysięczną ludność naszego miasta, są to krople w morzu.

W dni powszednie, jak wiadomo, ulubionym miejscem spacerowiczów wileńskich jest ogród Bernardyński, ale i tu mimo bliskości od centrum miasta, nawet w najbardziej pogodne popołudnia jest bardzo a bardzo przestronnie.

Gdzie są ci Wilnianie i co oni teraz o majowym zachodzie słońca robią? — zadaje sobie pytanie samotny wędrowiec po cienistych alejach „Bernardyńki”.

Ano siedzą w domu i martwią się, narzekają na ciężkie czasy, na osławiony kryzys, na bezrobocie, na niżkę płac. Ktoby tam myślał o świeżym powietrzu, o odpoczynku w ogrodzie, czy o przepięknych okolicach podmiejskich? Zobojętnieli ludziska na wszystko.

Przed paru laty piszący te słowa odwiedził Bydgoszcz. Gorące promienie czerwcowego słońca wymiotły prawie wszystkich mieszkańców za miasto; był to dzień świąteczny. Niemal pod każdym drzewem bawilo się, piło, jadło wesole towarzystwo. Gwar ich głosów napełniał cały dosyć duży las. Monotonny, sadzony las sosnowy.

Jakiż ogromny kontrast w porównaniu z naszym Zakretem dzisiejszym!

A więc: nie doceniamy piękna okolic naszego miasta, nie zachwycamy się niemi, wolimy wolne od pracy chwile (o ile kto ma pracę) spędzać w domu, lub łykać kurz z zaniedbanej jezdni naszych ulic. Leży to widocznie w naturze człowieka tutejszego.

Ale nie można całkowitej winy zwałać na obojętność czy lenistwo Wilnianina. Niepodobna pominąć całego szeregu okoliczności łagodzących, usprawiedliwiających poniekąd owe mieszczańskie zadowolenie się.

By zrobić dalszą wycieczkę za miasto, na to trzeba już czasu nie mało, to znaczy dnia świątecznego i niemało trudu; spędzić zaś czas w ogrodach i parkach miejskich — na to trzeba pieniędzy. Nie-dużo wprawdzie, ale jak na nasze czasy liczenia się z każdym groszem, płacenie za świeże powietrze, za promienie słoneczne, za cień drzewa jest zjawiskiem zgoła nienormalnym. Idziesz na Górę Zamkową — płac, do „Bernardyńki” — płac, do Zakretu — płac.

Zastanówmy się bliżej nad temi obszarami dochodowymi płatnego powietrza.

Oplata za wejście na Górę Zamkową daje spore zyski magistratowi, wprowadzona jest oddawna, można rzec, nabrała prawa obywatelstwa, przyzwyczajaliśmy się do niej i nie wywołuje jakoś narzekania. Nie znaczy to, by ze względu na wyjątkowo ciężkie czasy, nie należałoby tę opłatę jeśli nie znieść, to przynajmniej obniżyć. Obniżka taka zachęciłaby niewątpliwie do odwiedzania góry i prawdopodobnie dochodów magistratu nie uszczupliłaby.

Ogród Bernardyński zasadniczo jest bezpłatny. W praktyce jednak w latach ubiegłych wyglądało to inaczej. Nie było prawie dni świątecznych i sobotnich w ciągu lata, by magistrat nie oddawał ogrodu w ręce rozmaitych przedsiębiorców i towarzystw. Urządzano tam koncerty, zabawy i widowiska za opłatą, niezależnie od tego czy wchodzący życzył sobie znaleźć w ogrodzie ciszę czy chciał słuchać koncertów symfonicznych. I jednych i drugich za ich własne pieniądze przedewszystkiem raczono reklamami przez megafon i muzyką taneczną przez tenże megafon, który szedł w zawody z jednocześnie grającą orkiestrą na werandzie restauracji, położonej obok. Kąfonja ta uprzyjemniać miała pobyt gościom.

Z wielką przyjemnością muszę stwierdzić, że przez cały maj roku bieżącego podobnej wieży Babel w Ogrodzie Bernardyńskim nie zauważyłem. Zawdzięczać to należy przedewszystkiem zburzeniu muszli koncertowej i przeniesieniu koncertów symfonicznych do b. Ogrodu Botanicznego. Przymusowe umuzykalnianie Wilnian można uważać za skończone, powstaje tylko obawa, by Bernardynce nie przywrócono „Zabaw ludowych” i tem samem wprowadzenia opłaty przy wejściu, niezależnie od tego czy ktoś chce po „ludowemu” bawić się, czy ucieka od tej zabawy jaknajdalej.

O Zakrecie w swoim czasie mówiło się i pisało nie mało. Jak wiadomo wyrabano tam sporo pięknych sosen, „upiększono” park składami prochu, zbudowano kolejkę i most przez Wilję z napisem „przejście surowo wzbronione”. Zakret—przecudny park odrazu nabrał charakteru obiektu wojskowego, w którym przeciętny obywatel czuje się bardzo nieswojo.

Zapłacenie przy wejściu 10 groszy za tego rodzaju przyjemność, bynajmniej nikogo do odwiedzania lasu Zakretowego zachęcić nie może. Może z tej właśnie racji intendentura Uniwersytetu Wileńskiego uważała za konieczne powiększyć sobie zyski z parku. W tym celu z nastaniem dobrej pogody każdego dnia świątecznego oddaje park „w dzierżawę”. Robi to w sposób tak pomysłowy, że las Zakretowy w święto można nazwać prawdziwą pułapką dla publiczności.

Oto obrazek przy kasie ogrodowej.

Jegomość, głowa rodziny wydobywa 50 groszy i żąda 5 biletów „Pan płaci 1 zł. 50 gr.—oświadcza kasjerka — dzisiaj jest zabawa ludowa, urządzona przez związek monterów: 30 groszy od osoby”.

„Jakto — odpowiada oburzony jegomość — nie chcę wiedzieć o zabawie, idę na wolne powietrze, na plażę. Zresztą dlaczego nic niema w prasie o tej zabawie, dlaczego niema afiszów o tem? Nie poszedłbym, gdybym wiedział o podwyżce za wejście do parku”.

Rozpoczyna się prawdziwa kłótnia. Gospodarze „zabawy” wskazują na afisz nalepiony jedynie na

bramie parku. Z treści afiszu wynika, że zabawa ma być rozpoczęta dopiero o pierwszej godzinie, zaś nowi gospodarze każą sobie płacić za tę zabawę przy wejściu do parku o godz. 9 rano.

„Nie płacimy za żadną zabawę, w południe wracamy do domu! — rozlegają się głosy — dosyć tego nabierania, to pułapka na ludzi!”.

Tłum przed kasą rośnie, krzyki i wymyślenia też. Jedni wreszcie wracają z „wycieczki” do domu, inni poddają się i kupują bilety na arcynieciekawe imprezy pp. monterów, w rzeczywistości jednak idą na skraj lasu nad Wilję, jaknajdalej od natarczywych gospodarzy parku w danym dniu.

Tak działo się w roku ubiegłym, prawie w każde święto, widzimy to samo tylko częściej w roku bieżącym.

Nic tedy dziwnego, że to dosyć podstępne ściąganie opłat z zubożalego obywatela za korzystanie ze świeżego powietrza i słońca skutecznie odstrasza publiczność od Zakretu.

Nie mogę pominąć milczeniem jeszcze innej anomalji.

Most łączący park z malowniczymi górami, położonymi na prawym brzegu Wilji stoi bez użytku. Nigdy tam nie widzi się jakiegokolwiek ruchu. Dżozorca stale pilnuje, by jakiś „cywil” nie ośmielił się przez ten most przejść. Martwota ta robi jakieś wprost niesamowite wrażenia. Tylko czasami przypadkowo zabłąka się tu jaki wojskowy, który spokojnie spacerując po moście, może śmiało powiedzieć „co można nam, to nie wolno wam”. Trudno przypuścić, by władze wojskowe zakazując przejścia przez most uważały to za warunek bezpieczeństwa mostu, zresztą takiż sam most dla potrzeb wojska zbudowano na Wilji na Antokolu, swobodnie jednak z niego korzystają mieszkańcy miasta. Wielki czas by cofnięto ten zakaz, a można ręczyć, że Wilnianie nietylko nie unikaliby opłaty dziesięciogroszowej przez okężne, bardzo dalekie wejście do Zakretu, ale wprost przeciwnie, wzmógłby się ruch przez Karolinki, a tem samem dochodowość parku wzrosłaby, jeżeli ostatecznie już bardzo Uniwersytetowi zależy na tych dziesięciogroszowych poborach.

A Werki? Za wejście do parku pobierana jest opłata 25 gr. Czy to nie jest wyzysk?

Jak widzimy, zamykanie się Wilnian w swoich czterech ścianach, niewykorzystywanie darów natury, jakimi są wileńskie okolice, parki i ogrody wynika nietylko z niedoceniańcia przez nich tych skarbów, ale także z trudności, z jakimi muszą walczyć wskutek egoistycznej gospodarki właścicieli tych terenów.

Czas już, by zapanował pogląd, iż powietrze, słońce, przechadzka na łonie natury nie należą do przedmiotów zbytku i pobieranie za to opłat od zubożalej ludności w tych ciężkich czasach jest niedopuszczalne. Zaś świąteczne wydzierżawianie całego Zakretu dla imprez dochodowych — jest poprostu karygodne.

Al. S.

Wydawnictwo T-wa Pomocy Naukowej im. Wróblewskich
J. GOŁĄBEK

„WINCENY DUNIN-MARCINKIEWICZ”

Poeta polsko-białoruski

Cena 5 zł.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.
Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

